



Zofia Zając

część I z III

Sygnatura notacji: **N1441**

Data urodzenia: **14.05.1935 r.**

Data nagrania: **30.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **mieszkanie świadka, Kalinowa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Justyna Staroń**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 63 min, część III: 38 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zofia Zając: Na nas czekał traktor z przyczepą, ale na przyczepie były ławki i koce, żeby się okryć, bo to był 31 marzec, no i tak żeśmy zajechali miejsce, no to pan Bruno nas zaprowadził już tam, gdzie mieliśmy na razie zamieszkać. Było elektryczne światło, kucharka czekała z kolacją. Na kolację była kawa i miska z cukrem takim drugiego gatunku, żółtym – każdy sobie ośłodził, ile chciał, no i syrop z wiaderkami, chyba ze dwa te wiaderka buraczane, bo on miał swoją cukrownię i miał plantację buraka cukrowego. Jeść żeśmy nie mogli, byliśmy tak zagłodzeni, że każdy się napił kawy, zgryzł kawałek chleba, i on przyszedł. Przyszedł i na nas popatrzył, a my wychudzeni, wygłodzeni, bo tam przy tym słabym oświetleniu to nas dobrze nie widział, no i, proszę państwa, moja mama mówi, że my jesteśmy po obozie, że byliśmy w obozie, w lagrze, a on kiwnął głową, że tak, a taka polska kobieta, Głowacka, mówi: „On wszystko wie, jak w Polsce jest, bo Niemcy w Poznaniu zamordowali jego brata, bo był w wojsku w Poznaniu i bronił Polaków. Zawsze jak widział, że biją Polaków, to się upominał, i za to został zastrzelony, czy nawet powieszony, już nie pamiętam, i urnę z prochami przysłali rodzicom”. No i, proszę państwa, i co się potem stało? To był 31 marzec, późny wieczór. Na drugi dzień czy nawet tego dnia wieczorem, tym późnym wieczorem, ale chyba na drugi dzień, to przyniósł nam kartki, no i oczywiście polskim dzieciom się należało na te kartki pół litra mleka co dzień. Pierwszego dnia ja po to mleko nie poszłam, bo tam była taka rodzina z Zelowa, nazywali się Kropacz, mieli chłopczyka, który był chyba ze cztery czy pięć miesięcy młodszy tylko ode mnie, i ten chłopczyk poszedł, to mleko mi przyniósł. To był 1 kwiecień. Ale ja tego mleka nie mogłam, kochani, pić. Krowy były karmione kiszonką z cukrowych buraków i wysłodków z cukrowych buraków. Zapach był tej kiszonki i tych wysłodków, to mleko było zupełnie słodkie, no nie mogłam tego pić, a byłam tak zagłodzona, że powinnam to mleko pić. No i ten chłopczyk poszedł, to mleko mi przyniósł, to był 1 kwiecień. Drugiego kwietnia, dzień, którego nigdy w życiu nie zapomnę: już poszłam po to mle-

ko z tym chłopcem, miałam taką czerwoną czapkę tu zawiązaną, robioną na szydełku, no i tak za ręce żeśmy się trzymali, i taką banieczkę mi kucharka dała półlitrową, to tak się zamykała, jak kiedyś butelki po lemoniadzie, na ten zatrzask taki, no i żeśmy szli po to mleko z tym chłopcem. W pewnym momencie ten chłopczyk się zatrzymał, chwycił mnie tak mocno za rękę i powiedział: „O Jezus, idź”. Ja nie miałam pojęcia, o co chodzi. I stanął, zatrzymał się. Doszło do nas trzech dryblasów z Hitlerjugend i się coś pytali. Ten chłopczyk trochę tam już po niemiecku rozumiał, bo oni byli chyba już pół roku wcześniej przywiezieni do Niemiec, i mówi: „Pytają się ciebie, skąd jesteś”. Ja o niczym nie miałam pojęcia, powiedziałam: „Z Kalinowej”. Wybuchnęli szyderczym śmiechem. Kalinów kaputt, Widaw kaputt powtarzali, każdy z nich mnie uderzył w twarz, każdy z nich mnie opluł i każdy z nich mnie kopnął. A Tadek był z Zelowa, no to tylko go jeden opluł i jeden kopnął, i jeden go uderzył w twarz, czyli ja dostałam po trzy razy, on po jednym razie, ale mimo wszystko Tadziu miał też pół twarzy sinej, czarnej, a ja to byłam kompletnie poobijana. No i z tym mlekiem, z płaczem, żeśmy przyszedli do domu, na drugi dzień, Tadzia mama była kucharką, poszła po to mleko. Przyniosła nam to mleko, no i czekaliśmy właśnie tego pamiętnego dnia, 2 kwietnia, z roboty przyszedł pierwszy ze stajni pan Franciszek, na nas popatrzył, my żeśmy powiedzieli, co się stało, a on mówi: „Nasz marszałek, nasz poligon. Żeście zostali pobici za naszego marszałka i za nasz poligon”. Przyszedł potem pan Leon, który miał bardzo dobrze w wojnę, bo był nadwornym krawcem – też to samo. Potem przyszedł drugi pan Franciszek nieszczęsny, no i pan Bruno – wszyscy to samo mówili. Mój ojciec zaczął pracę w owczarni, no i też pierwsze, co powiedział: „Poligon i marszałek”. Czyli to jest mój marszałek, mój. Ja nie wylewam kubków fekalii na głowę marszałka, jak to się robi teraz, jest nic niewinien. To nie była ucieczka, tak na marginesie wtrączę. Czy w mundurze się ucieka, czy się wycofuje? Wycofuje, w mundurze się nie ucieka, a ten ostatni rozkaz marszałka, który niektórzy historycy nazywają fatalnym, skandalicznym, to było uratowanie ciągłości państwa polskiego, bo każde państwo, wtedy także państwo polskie, dzięki temu rozkazowi zachowało ciągłość swojego istnienia, bo państwo zachowuje ciągłość istnienia, kiedy ma armię i rząd, więc rząd się wycofał, chociaż częścią niewielką, bo to było około 85 000 wojska, ale jednak ta armia była, i dzięki temu pan Sikorski, którego ja uważam z kolei za zdrajcę, odwrotnie, mógł stworzyć rząd, a gdyby nie było tych 80 000 wojska, by stworzył tylko komitet, a komitet to nie rząd, tak że powinniśmy być marszałkowi wdzięczni, i to było wcześniej zaplanowane wszystko, pan profesor Mościcki zaplanował. To było zgodne z planem, tylko tu nas Rumuni zdradzili – przecież generał Maczek przekroczył granicę rumuńską z pełnym uzbrojeniem, z armią zdolną do walki i jeszcze z 1 000 jeńców wojennych, a Rumuni co zrobili? Rozbroili ich, zamknęli w obozie jenieckim, marszałka aresztowali, rząd aresztowali. Powinno się też o tej zdradzie rumuńskiej mówić. I co jeszcze? Podobno pan marszałek, wsiadając gdzieś na dworcu w Rumunii do pociągu, krzyknął do ministra Becka: „Panie ministrze, pan mnie oszukał”, i teraz dlaczego historycy nie interesują się tym, czy minister Beck oszukał pana marszałka, czy minister Beck został oszukany przez Rumunów? To jest pytanie zasadnicze, ale tym się nikt nie interesuje. No i, proszę państwa, jesteśmy tu, no i w tych Niemczech, i proszę panią, ja nie wiem, który to był kwiecień, ale w każdym razie ja w tym kwietniu zachorowałam. Najpierw zachorował Tadek na odrę i wyzdrowiał, jakoś mu przeszło, a ja zachorowałam na odrę, dostałam zapalenia płuc, różne komplikacje, powikłania były, no i to musiał być kwiecień, bo moi rodzice nie mieli pieniędzy, nie było jeszcze wypłaty, więc co? Ja byłam sama w domu, była kucharka, ale przecież kucharka nie była w stanie mnie upilnować. Okna były pozastawiane tym ich czarnym papierem i miałam leżeć, ale ja miałam jeszcze tyle siły, że ubrałam się i wstałam. Jak wstałam, to było pierwsze piętro, poszłam na dół i jak szłam z powrotem, weszłam na to pierwsze piętro – pamiętam, że ta poręcz tak się kręciła w prawo, chciałam się tego chwycić i tak na wznak spałam po tych schodach i straciłam przytomność. Mamusia przyszła z pracy, to ja leżałam na łóżku

nieprzytomna. Pobiegła na dół do Niemki, ta Niemka pobiegła do majątku, taka Hana, przyszedł ten młody pan, mnie zobaczył, szybko zadzwonił po lekarza, ale lekarz nie mógł przyjechać, bo był w terenie, dopiero przyjechał o dziewiętej wieczorem, i szczerze ten niemiecki młodzieńki lekarz się mną zajął, i pamiętam, te leki mi przepisał, to już była godzina policyjna, no to co – trzeba wykupić szybko leki, szczególnie jeden lek jakiś był, który miałam natychmiast zażyć. No więc przyszedł ten młody pan, zobaczył, zapytał się, co mi jest. Jak przyszła ta starsza pani, jego matka, no i przyniósł pieniądze, 50 marek przyniósł – to było bardzo dużo, jako zadatek, i mój ojciec otrzymał przepustkę, no ale to nie była, tylko musiała być ta przepustka z głównego posterunku, to się ta wieś nazywała Rysztet. Tam był główny posterunek i z tą przepustką poszedł do sąsiedniej wsi, do apteki, proszę państwa, i przyniósł mi te leki, to już było około godziny jedenastej wieczorem. Ja te leki zażyłam i przeleżałam, nie wiem, w każdym razie ja wstałam dopiero i na własnych nogach chodziłam, to już jak kosili, jak sprząkali owies, czyli to mógł być najwcześniej lipiec, koniec lipca, czyli tyle przeleżałam w łóżku. No to ten lekarz się sam dziwił, że mu się udało, a Niemcy byli dumni, że jego lekarz dziecko uratował z takiego ciężkiego stanu i mówili, że gdyby jego ojciec nie był na froncie i się mną zajął, to ja bym o połowę wcześniej wyzdrowiała. Podobno tak [mówił], bo to był syn lekarza. No i, proszę panią, potem wstałam, stopniowo doszłam do siebie, no i wiem, że to były żniwa i już owies sprząkali, bo już na pogrzebie Kacalaka to ja szłam o własnych nogach. I, proszę panią, ja mam uraz do Ukraińców, bo jak w wieku dziecięcym się czegoś doświadczy, to potem to całe życie się nosi w sobie. Był taki Ukrainiec, też pracował u nas, miał na imię Bolek, i to taka głupota, proszę panią, aż wstyd o tym mówić. Do spodni sobie przyszył taki biały, pani to nie wie, taki biały, duży guzik, taki gruby, biały, i tego guzika było połowę widać. No i polska dziewczyna o imieniu Władzia mówiła: „Bolek, taki guzik żeś sobie przyszył. Mogłeś mi powiedzieć, ja mam jakieś tam czarne guziki, to bym ci dała i byś sobie przyszył czarny guzik”, i o to byle co, to powiedział, że ją zarębie hakiem na śmierć, że ją zabije, co tylko na świecie. Ta dziewczyna się bała, każdą noc spała przez jakiś czas u innej Niemki, bo się bała tam spać, a on, proszę panią, były żniwa, właśnie ten owies wozili, droga była wysadzona śliwkami węgierkami i on właśnie na tym wozie jechał i chciał sobie urwać tych śliwek. Jak rwał te śliwki, to się ześlizgnął po tym snopku i pod wóz, i to koło naładowane tym zbożem go przeszło na pół. Śmierć na miejscu. I, proszę panią, nie wiem, czy on był katolikiem, ale miał katolicki uroczysty pogrzeb: ksiądz przyjechał na miejsce, dziewczyny posprzątały swój duży pokój, bo spały w takim dużym pokoju, odprawił mszę, no i został pochowany na cmentarzu. Kto ten pogrzeb finansował, to nie wiem, ale był ładnie pochowany, to ja na tym pogrzebie po raz pierwszy szłam, znaczy się z domu, tam z majątku, na ten cmentarz zaszłam sama i przyszłam, tylko nie miałam trzewików. Ciocia z Polski mi przysłała taką zieloną spódniczkę i białą bluzkę, a trzewiki mi przysłała też, ale były za małe, i te trzewiki mama zaniósła do szewca, żeby szewc rozciągnął. Jak mi rozciągnął, to tak mi klapały, spadały mi z nóg, jak szłam, no ale jakoś tam zaszłam, no a potem na jesień to żeśmy się już wyprowadzili na wieś, to na szczęście miałam blisko do sklepu i do tego sklepu, to była ulica Rieterstrasse 19, czyli dziewiętnaście, na rogu, główna ulica to była Adolfa, a na rogu właśnie był sklep Rieterstrasse i Adolfa, to był sklep spożywczy, duży, no to tam kupowałam i tak podglądałam, czy nie ma Hitlerjugend, bo tam naprzeciwko tego sklepu na ulicy Adolfa to mieszkał chłopak z Hitlerjugend, to nie raz jeszcze koledzy do niego przychodzili i tak na nas czatowali, żeby nas pobić. To była tragedia. Dziewczyny jak dziewczyny, jeszcze jeszcze, ale to Hitlerjugend, to robotnicy polscy, mężczyźni szli z pracy, to siedzieli ich trzech na drodze albo stało i [krzyczało]: Schweine Polacke, polnische Hund, „polskie świnie, polskie psy”. Byliśmy bici, objani, te polskie biedne dzieci, a nasz pan, mój Boże, ten młody, ile razy był w szkole, interweniował, że to są dzieci jego polskich robotników, żeby ich nie bić. Przyplacił to życiem, proszę panią, tak. Ja mówiłam zawsze, że to był najlepszy z Niemców, może ten jego

brat [też] był, bo ci, co znali tego jego brata, który zginął w Poznaniu, to mówili, że był jeszcze lepszy, ale on zachował zwyczajnie na wyrostek, poszedł do szpitala i nie wrócił. Sprzątnęli go, bo był znany ze swoich poglądów, w ogóle cała rodzina była znana z tych poglądów. To byli ludzie bardzo bogaci, bardzo. Teraz bym powiedziała „nieprzyzwoicie bogaci”. No i kiedyś pamiętam też, ten Hitlerjugend mnie pobił, ale co, powiedziałam w domu, popłakałam się i na tym koniec. Jeszcze na domiar złego w podwórku mieliśmy taką Niemkę, która miała dziewięcioro dzieci, najstarszy syn już był w wojsku, potem były dwie córki, podłe takie, jędze, ale one tylko przyjeżdżały. Jedna była pielęgniarką w Berlinie, a druga była w mieście Halle, gdzieś tam pracowała, a potem obydwie przyjechały tu, jak były już te bombardowania, ale to tak, był Fritze potem, no to też potrafił [za] byle co [nas pobić], to wystarczyło, że taki mały chłopak, Manfred, poszedł i coś tam naskarżył, co prawdą nie było, to ten już nas bił i nie było wyjścia. Posterunek, proszę panią, był na środku wsi, był jeden żandarm, to co chodziła, skarżyła ta Niemka na nas, na polskie dzieci, że kradną, kto wie co na świecie, wymyślała różne nieprawdopodobne rzeczy, no i, proszę panią, ten posterunek przeniosła właśnie na ten róg, gdzie był ten sklep, u góry, tak że wystarczyło tak przejść i już ten żandarm, i miała blisko chodzić skarżyć, Polizei było i Polizei, stale było Polizei. O co? O nic. Na mnie o światło, że za wcześnie światło zapaliłam i przyszedł żandarm, i pyta mnie się, dlaczego to światło zapaliłam, ja mówię: „Bo mamusia mi kazała czekać, jak Frau Richard zaświeci światło, to żebyś zaświeciła, no i zaświeciła, i ja też zaświeciłam, a potem jak czekałam, jak zasłoni okno, to ja też dopiero zasłaniałam”. Tak popatrzył na mnie, mówi: „Dziecko, jak Frau Richard mieszka na dole, a wy mieszkacie u góry, to jak zaświecisz światło, to zaraz zasłoń to okno. Tak będzie lepiej”. No, widzi pani, nie wiedziała co, to się uśmiechnęła. Kiedyś zabiła królika, zjadła i powiedziała, że polskie dzieci ukradły jej królika, i co, chciał nie chciał, chodził i szukał tego królika. Groch młócili, dowiedziała się, że młóć groch – Polaki groch kradną, no to co? Polacy to tam, był nasz sąsiad taki z poznańskiego, też dobrze znał niemiecki, poszedł i powiedział temu panu, że już skarży, że groch kradniemy, to on szybko nam dał tego grochu trochę połówkę, bo to było wolno mu dać, i trochę całego grochu, że w razie [jeśli] powie, że kradniemy, żebyśmy ten groch mieli, no i ten żandarm przyszedł i szukał tego grochu. Ja miałam pod łóżkiem w takich dwóch pudełkach kartonowych ten groch, wysunęłam, i się pyta, skąd groch mam, ja mówię: „A pan nam dał”. „No, to dobrze” i poszedł, i tak obszedł z chałupy do chałupy i nie udało jej się. Kiedyś znów o jajko [naskarżyła]. Ten mały chłopak, co miał cztery lata wtedy czy pięć... pięć chyba już, i taka jeszcze najmniejsza [dziewczynka] była, miała pewno ze trzy lata, to ci byli najgorsi. Nie mógł nas bić, to już piachem, kamieniami pluł. I co jeszcze było bardzo przykre, ten Manfred, ten mały chłopak, to tak [wołał]: Schweine Polacke, polnische Hund, jeszcze do tego: Hände hoch!, czyli „poddaj się!” – to było nawiązanie do naszych żołnierzy, że się poddawali tak Niemcom na froncie. Jakie to było bolesne. Kij brat [i wołał]: Hände hoch!. No i przyszedł ten Manfred i mówi: „Kura poszła z jajkiem i mama mnie przysłała, żebyś pilnował tej kury, bo jak ta kura wyjdzie z gniazda, to byśta ukradli to jajko”. No i ta kura wyszła z tego gniazda, ten chłopak wziął to jajko i poszedł do domu, a ona przyszła, zobaczyła, że jajka nie ma, poszła do żandarma, naskarżyła, że my jajko ukradli. Ten żandarm wiedział, że ona taka jest - zaczął się dopytywać tego chłopaka, ten chłopak się przyznał, że to jajko schował pod poduszkę. To szczęście, że ten żandarm był rozsądny, a dlaczego był rozsądny? Nie wiem, czy to prawda, ale ludzie mówili, że żonę miał pochodzenia żydowskiego. Ja raz w życiu tę jego żonę widziałam, no to rzeczywiście była czarna, wtedy jeszcze włosów nie farbowano, a jego córka była pokojówką w majątku i też była czarna, tak że to jest możliwe, i może dlatego łagodniej patrzył na Polaków. No i wśród takich różnych [ludzi żyliśmy]. No i co jeszcze? Mój ojciec pracował, jak już wspomniałam, w owczarni. Miał tam dobrze, dokąd nie przyszedł na praktykę tak zwany Martyn, to taki chłopak z Hitlerjugend był na praktyce. Ten chłopak zamiast robić, to nie robił

nic, tylko chodził i tak [mówił]: „Polska świnio” i cieszył się, że niedługo pójdzie na front, że zgłosi się na ochotnika do Polski, wszystkim pokaże, jak się wojuje, Polacy dopiero poznają siłę niemieckiego buta, i takie rzeczy od rana bez przerwy wygadywał, tak że naprawdę do takiego stanu mojego ojca doprowadził, że jak pił tę czarną kawę, to pół kubka trzeba było mu nalać, bo mu tak ręce drżały z nerwów, że kawa się wylewała. No i przyszedł ten dzień, kiedy ten chłopak poszedł, odjechał już na ten front, ale jeszcze wcześniej jak odchodził, to powiedział: „No, ja teraz na front, to tam wam porządek dopiero zaprowadzę”, no i ten poszedł. Mój ojciec tak się zdenerwował, że nie wytrzymał i tyłem go od wideł ze dwa razy uderzył, to on jeszcze poszedł, zdążył iść do żandarma. Ten żandarm to wszystko schował. No i co się stało? Pewnego dnia tatuś poszedł do roboty, a ten owczarz mówi: „Józef, wiesz ty, gdzie jest Sieradz, Zduńska Wola?”, ojciec mówi: „Wiem, bo ja stamtąd jestem”. „Wasza partyzantka wysadziła pociąg i głupi nie żyje. Nikt nie przeżył z tych, co jechali na wschodni front tym pociągami. Nikt a nikt nie przeżył”. I, proszę panią, było mi dane poznać tego człowieka, który ten pociąg wysadził w to powietrze - to był pan Strzelecki Jan ze Zduńskiej Woli, piłsudczyk, dowódca okręgu na prawym brzegu Warty w rejonie sieradzkim czy coś takiego. Zaprzyjaźniłam się z jego żoną, z nim też. Jego żona była krawcową, proszę panią, i modystką w jednej osobie. Przeszli swoją, on siedział trzy lata [w więzieniu]. Potem wyszedł z tego więzienia, jak szedł ulicą, to dzieci krzyczały: „Głupi dziad, głupi dziad!”. Takie czasy były. No i tak w tych Niemczech żeśmy dotrwali do końca wojny, a jeszcze zaprzyjaźniłam się z taką Niemką jedną, która właśnie miała świnkę i kozę, i ja tej kozie i tej świni zanosłam obierzyny z ziemniaków, czasem jej zanosłam cukier, ten kartkowy. No i kiedyś też poszło, i ona miała córkę, najstarszą, męża ta córka miała, lotnika. Była podła, jak nie wiem co, a ta matka była dobra. Tak jak ta córka przyjeżdżała do niej, to taki jeszcze był mały chłopak, najmłodszy z rodzeństwa, to przyleciał zawsze mi powiedzieć, żebym nie przychodziła, bo przyjechała. Jak odjechała, to dopiero mi przyszedł powiedzieć, że mogę do niego przyjść, no to z koleżanką, ta koleżanka właśnie była z poznańskiego, to żeśmy do tego chłopaka chodzili. No i ja kiedyś wzięłam mu te łupiny i kilo cukru, tego kartkowego, i do południa jak Hitlerjugend było w szkole, poszłam jej zanieść, tej Niemce. Poszłam zanieść ten cukier, proszę państwa, chwyciłam za klamkę furtki – furtka zamknięta. Wzięłam, zadzwoniłam, otworzył mi kto? Gestapowiec w czarnym mundurze, to ja zaczęłam uciekać, to on mnie chwycił za rękę i mówi: „Nie bój się, chodź. Ty jesteś Zofia?”, ja mówię: „Tak”. „Matka mi wszystko o tobie opowiedziała. Chodź. Kozie łupiny przyniosłaś?”, ja mówię: „Tak”, ale mówię: „Mam jeszcze kilo cukru”. „No to dobrze”. Wziął, z powrotem tę furtkę zamknął, ten cukier zaniósł do kuchni, mówi: „Chodź, a łupiny damy kozie”. No i żeśmy tę kozę karmili i on mi powiedział, że wojna się już niedługo skończy. „Wy pojedziecie do Polski, bo wy chyba przeżyjecie, ale ja muszę zaraz jechać na front i chyba nie przeżyję”. No i potem żeśmy poszli do kuchni, żeśmy oboje zjedli po kawałku placka, wypili po kubku kawy. Ładny chłopak był, ale wojna, front nauczył go rozumu, a ona, ta jego siostra, dopiero zrozumiała, jak zginął jej mąż. Ten mąż, ten lotnik, miał przylecieć, proszę panią, na urlop. Ona mieszkała w Aachen chyba, no i ona poszła po niego na lotnisko. Nadleciały amerykańskie samoloty, zestrzeliły go na jej [oczach] i potem go pozbierali w kawałkach we worku i we worku go, tam jakieś ubranie, może jakiś mundur mu dali, ale w każdym razie w kawały, i ona się wtedy zmieniła. Wtedy już, jak przyjechała, nie mówiła, żeby polskie dzieci nie przychodziły. Nawet kiedyś przyszła, żebym przypilnowała jej tych dziewczynek, bo miała dwie dziewczynki, ja się wahałam, czy iść, czy nie iść, no ale poszłam, ale matka jej zrobiła na złość zwyczajnie, jej matka, bo powiedziała, że jej nie będzie w domu, a wcale nieprawda, ta matka jej cały czas była w domu ze mną i tych dzieci tak samo pilnowała. Ja to sobie tylko tak byłam, ona tych dzieci pilnowała, to ona musiała gdzieś jechać, tylko to było na złość, to matka jej zrobiła, żebym ja, polskie dziecko, tam poszła, i wtedy ona już nie mówiła nic. Tacy byli Niemcy. I, proszę panią, przyszła kiedyś już po wojnie,

po tym dojdziemy do tego wszystkiego, przyszła po wojnie do nas sąsiadka, ta córka Mikołaja, i mówi tak: „Widzicie? Moja Niemka to była dobra”, a moja mamusia mówi tak: „Marysia, ty nie wiesz, jaka ta twoja Niemka była, czy dobra, czy niedobra. Gdyby Hitler wygrał wojnę, to ty byś dopiero wiedziała, jaka ta Niemka twoja była, czy dobra, czy niedobra, bo ja też byłam dłużej, ty byłaś dwa lata, a myśmy byli trzy lata we wojnie, i w zależności od tego, czy na froncie wygrywały, czy przegrywały, czy szły do przodu, czy się cofały, to tych dobrych Niemców ubywało, względem przybywało. Jak było na froncie źle, to tych dobrych przybywało, tych złych ubywało, a jeśli zwyciężały, to tych dobrych ubywało”, no ale ona mówi: „Ano, prawdę mówicie, bo jak zaraz zajęłam do Niemiec, to ona była taka podła, a potem to była lepsza”. Ano właśnie. A był taki Niemiec, proszę panią, starszy już. Co on robił? Pilnował żrebaków, w oborze u żrebaków nadzorował, żeby karma była tam dobrze rozłożona, wszystko, to przecież fizyczny robotnik, starszy człowiek, a głupi jak osioł. Miał trzech synów, wszyscy trzej synowie byli na froncie wschodnim, zamiast się zastanowić. Miał wielką uciechę jak Polacy obornik od żrebaków wyrzucali, to wtedy tylko mówił: „Nasze wojska to są już tu, nasze wojska to już doszły pod Moskwę”, „A nasze wojska to to”, „A jaki to Hitler jest wódz, a wasz marszałek to przegrał wojnę”, i tak w kółko. Ci Polacy się po prostu bali, jak ten gnój mieli od tych żrebaków wyrzucać, ten obornik. No i co się dzieje? Ginie jeden syn, potem drugi, a potem trzeci, wszyscy trzej na tym froncie wschodnim. Facet potem się pukał w głowę i mówił, że Hitler to jest głupi i nas w tę wojnę wciągnął. Widzi pani? No i potem przyszło, proszę panią, dokładnie wyzwolenie, to był 6 kwiecień, czterdziesty piąty rok o godzinie szóstej rano. Wkroczyła do wsi Bonstadt VI armia amerykańska pod dowództwem samego generała Eisenhowera, przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych przez dwie kadencje. Dostałam od niego czekoladę, bo poszłam, patrzyłam się, z mamą szłam, patrzyłam się, a oni kwaterowali w majątku, więc poszłam, tam się gapiłam, więc on wyszedł, coś tym żołnierzom mówił, którzy stali na warcie, na mnie popatrzył, potem mi wyniósł czekoladę. No i potem byliśmy do maja jeszcze, w maju żeśmy [wrócili do Polski]. W lutym to już ci uciekinierzy z Polsce, już się tam pojawili, a wcześniej jeszcze byli z Hamburga, Niemcy uciekli do nas, i z Berlina też, no a potem właśnie ci Wołyniacy wszelcy, czarnomorscy, z Polski. No i myśmy się wybrali do Polski furmankami, proszę państwa, to tam z poznańskiego tacy młodzi chłopcy przywieźli tych Wołyniaków i z powrotem wracali do Polski, myśmy się z nimi zabrali też, no i żeśmy jechali. Wszystko było dobrze, pięknie, mieliśmy nawet tak zwane Reisekarty, czyli karty podróżne, na które było można w każdej miejscowości kupić żywność. I było wszystko dobrze, pięknie, aż do miasta Eilenburg, przez które przepływa rzeka Mulda. To była rzeka graniczna wtedy między strefą amerykańską a rosyjską. Po stronie amerykańskiej były dwie małe chorągiewki amerykańskie, a po stronie rosyjskiej dwie wielkie flagi ruskie, z sierpem i młotem, po jednej i po drugiej stronie portrety Stalina większe jak ta ściana i po tej stronie było dużo ludzi, pomimo że się jeszcze tam paliło w niektórych miejscach, a po stronie rosyjskiej to już była pustka. Myśmy tam czekali chyba z tydzień na otwarcie granic, no i, proszę panią... A nie, jeszcze wcześniej to żeśmy się zatrzymali w takiej wsi, która się nazywała Zwachau, i tam właśnie potem, jak nastąpiła ta zamiana tych stref okupacyjnych, to przesunięcie, to tam weszli Rosjanie, i wiecie państwo, jak widziałam pierwszego żołnierza rosyjskiego? W czerwony szlafrok w takie wielkie kwiaty, przepasany, pistolet oczywiście, no i czapka wojskowa. No i to już wtedy, jak oni weszli, to w tej wsi Zwachau już tam gdzieś na wiatraku jakieś kobiety niemieckie pogwałcili i jeszcze tam coś, już się to zaczęło, no ale myśmy dojechali do tej granicy już, jak wspominałam, tam żeśmy chyba z tydzień czekali. Tu też żeśmy byli chyba ze dwa tygodnie ze wsi, no i żeśmy przekroczyli granicę na tym moście, tak jak wspominałam, to w tę stronę do Niemiec do tej strefy amerykańskiej, no to tłum Niemców na wózkach dziecięcych, rozmaitych, a w naszą stronę, na stronę wschodnią, to tylko my żeśmy jechali, i to miasto po tej stronie rosyjskiej to było puste zupełnie, zupełnie puste.

Mieliśmy dokumenty, wszystko jak się należy, ale dla nich te dokumenty to nie miały znaczenia, bo nie było podpisu Stalina tam, to musiała być przepustka od samego Stalina. Na szczęście z nami był starszy pan z poznańskiego, się nazywał Jankowiak, który znał język rosyjski perfektnie. Czytał, pisał, tak jak się powinno dobrze znać obcy język, i to nas ratowało, bo jakoś się tam z tymi głuptasami dogadywał. Pamiętam, żeśmy mijali potem miasto Torgau, to w tym mieście Torgau to było dwóch starych Niemców i jedna stara Niemka, całe miasto puste. No i żeśmy tak dotarli, jeszcze w międzyczasie oczyścili ze wszystkiego Rosjanie, bo nas zatrzymali, nie udało nam się uciec przed nimi, i to byle co pozabierali. Mnie chciał zastrzelić wtedy, proszę panią, taką miałam zabawkę wielkości może tej szklanki, tylko kwadratowa, i to była taka szklana klateczka w środku z ptaszkiem, ja to trzymałam sobie tak w torebce, żeby mi się to nie potłukło. Zabrał mi tę torebkę, to zobaczył, tę [zabawkę], się śmiał jak głupi, bo to głupie było, no i tę klatkę mi zabrał, to ja się zaczęłam krzywić i płakać, a on mówi tak: „To ja cię oswobodziłem, Germana z Polski ci wyгнаłem, ty możesz teraz jechać do Polski, a ty płaczesz? To ja cię muszę ubić”, i taki polski chłopak o imieniu Czesiek krzyknął na mnie: „Uśmiechnij się do niego!”, to ja się uśmiechnęłam, on wziął się też uśmiechnął i ten karabin odłożył, na plecach powiesił. Ja już się bałam i nie płakałam, a ten chłopak jak się schylił, to miał zegarek na nodze, żeby mu Rosjanie nie zabrali, i na nodze ten zegarek miał, te spodnie mu się tam jakoś [podniosły], bo przecież ręka cieńsza jak noga, to tak daleko nie założył tego zegarka. Spodnie mu się uniosły, zobaczył ten zegarek i zabrał, to ten się uśmiechnął do niego, zdjął ten zegarek, a on wyciąga zamiast rękę to nogę i też na tę nogę mu musiał założyć ten zegarek. Taki mieli rozum. Potem przyszedł drugi znów i zabrał nam jedzenie, nam zabrał smalec taki. Nie był już pełny, dwulitrowy stoik smalcu był, no połowa jeszcze była, to zabrał nam smalec. Tam takiej naszej sąsiadce z Niemiec, Gwizdkowej chleb i smalec, takiej Frani, to była córka właśnie tego pana Jankowiaka, też tam i chleb i smalec, no to ten Jankowiak mówi: „Kobiety, weźta te dzieci i pójdziemy do dowódcy”. Poszedł do dowódcy, tłumaczy, że dzieci przecież też potrzebują jeść, a on mówi, że żołnierze też potrzebują jeść i oni zapłacą nam, tylko jak się wojna na dobre skończy, a to był, proszę panią, już lipiec chyba. „Jak wojna się skończy”, to był taki rozum, taka mowa z nimi była, a już było po kapitulacji. No i co, jak poszedł ten pan z nami, ten pan Jankowiak, tam mu tłumaczy, on mówi, że tak, że oni zapłacą, tylko jak się wojna skończy na dobre, wszystko, to zapłacą, i miał taki malutki bloczek i napisał tak, każdej kobiecie napisał: „Zarekwirowano chleby”, „Zarekwirowano smalec”, „Zarekwirowano chleb”, tak na zmianę, no i moja mama miała karteczkę „Zarekwirowano smalec”. No i ten chłopak potem mówi, ten pan Jankowiak: „Kobiety, przecie powyrzucajta te kartki, bo przecie to kpiny są. Oni oddadzą, jak kto wie, gdzie on będzie. Ani adresu, ani pieczątki, nic, nawet podpisu”. No i tak żeśmy dotarli do polskiej granicy, do Polski na Nysie Łużyckiej. Był most drewniany, dwie niewielkie biało-czerwone flagi, jakie wzruszenie, napis „Witajcie, kochani rodacy”. Żołnierze stali na warcie. Żeśmy się zatrzymali na tym moście. Zgadnijcie, kochani, co oni powiedzieli, ci żołnierze. „Kochani rodacy, kochani Polacy, z której strefy okupacyjnej wracacie?”. „Z amerykańskiej”. „To po co wy tu jedziecie? Polski nie ma, Polska jest XVII Republiką Sowiecką”. Tak mówili polscy żołnierze, ci od Berlinga. Niestety się też wszystkich wpycha do jednego worka, niesłusznie, a jak któryś z żołnierzy się odezwał, mówi: „Tak, kochani rodacy, jeden wyszedł, drugi przyszedł. Nie ma żadnej różnicy. Kto wie, czy jeszcze nie gorszy”. No i żeśmy ruszyli dalej, bo żeśmy tak jakoś na ukos jechali, żeśmy minęli po tym jeszcze Odrę. Na Odrze był most pontonowy, nie wiem dlaczego, ale tam było tyle słomy na tym moście, to się tak huśtało, te konie się bały, a po tej stronie, po lewej, stał taki mały, ruski żołnierz, karabin miał taki byle jaki, mówił, że miał dwanaście lat. No i te konie się bały rzeczywiście na tej słomie, jeszcze to się tak huśtało, i leciał za tymi naszymi wozami [i wołał]: „Głupie polaczki, głupie polaczki, głupie polaczki! Boją się jechać, głupie polaczki!”. To żeśmy przejechali jakoś przez ten most, żeśmy się zatrzymali, a po le-

wej stronie był rosyjski cmentarz ruskich żołnierzy i tam były takie nagrobki, ale nie wiem, to chyba były blaszane i malowane na czerwono, i na każdym, bo ten pan czytał, pisało: „Pogib za rodzinu”, czyli „Zginął za ojczyznę”. No i żeśmy tam poszli i ten pan mówi: „No widzisz, tyle was naginęło”. „Głupie polaczki, przecież nas to jest mnogo”. „Nas jest dużo” znaczyło. „Nas to jest mnogo, nas to jest dużo. Głupie polaczki”. No i ten pan mówi tak, i potem ten ruski mały mówi tak: „Ten to trochę za mały jeszcze na front – o to była moja koleżanka ze swoim bratem, on miał za ledwie chyba jeszcze nieskończone siedem lat, no ale niech już miał te siedem, a my po dziesięć z tą koleżanką, ale te dwie to już by mogły iść na front”, a ten pan mówi: „Dzieci, wy uciekajta na wóz, posiadajta na wozy i skurczta się tak, żeby was widać nie było, bo może być źle, bo widzita, że to jest głupie kompletnie”. No i myśmy poszły na te wozy i jakoś potem dalej żeśmy pojechali, a ten pan mówi: „Ja się go jakoś tu pozbędę”, no i jakoś go się tam pozbył, a myśmy dalej pojechali. No i co, i tak nam potem zabrali już, a wcześniej nam zabrali te lepsze konie, taka stara klacz tam, na tym wozie, gdzie myśmy jechali, to się zastała taka stara klacz i taki ruski, ten mały koń, a tego dobrego konia zabrali temu panu. Ten pan, ten, co znał rosyjski, miał dwa ładne konie, też mu zabrali i temu chłopakowi, co tu ten zegarek [założył] na nogę, też mu zabrali, a wymieniali po prostu na te ich takie, a potem i te nam zabrali, tak że do Rawicza żeśmy już... Nie, do Rawicza jeszcze żeśmy dojechali tymi końmi, już jednym tylko, tym ruskim chyba, no i, proszę panią, w tym Rawiczu żeśmy się... Aha, jeszcze nie wszystko. Więc jak żeśmy przekroczyli naszą granicę polską, więc już byli polscy żołnierze, byli ci żołnierze, tak zwani kościuszkowcy. Ci żołnierze mieli polskie serca. To jest nieprawda, że to jacyś bandyci czy coś w tym rodzaju, nie, to byli Polacy, prawdziwi Polacy, i oni nas chronili. Pamiętam, żeśmy dotarli, to już na terenach Polski, do takiego lasu sosnowego. W tym lasu sosnowym był barak i tam byli polscy żołnierze, i wyszedł do nas taki młody oficer, szczupły, wysoki, nie wiem ja, w jakim stopniu, ojciec mówił, ale zapomniałam. No i, proszę panią, ten oficer nie kazał nam dalej jechać, żebyśmy się zatrzymali na noc, bo możemy się na nich natknąć, na ruskich, a on wysłał zwiada, którą drogą będzie najbezpieczniej jechać. No i tam żeśmy w tym baraku wojskowym zanoceowali, oni biedni nic nie mieli do jedzenia, tylko kaszę jęczmienną, ten kucharz nagotował tej kaszy. Tam jedna z kobiet jeszcze miała trochę smalcu, to żeśmy tę kaszę okrasili. Ten oficer mówi: „Przykro mi, że was tak przyjąłem, no ale naprawdę nie mamy nic”, no i na drugi dzień tak przed południem nas odprowadził, o, chyba ze dwa kilometry i ze zwiadowcami, już żeśmy pojechali. Potem nie wiem, jak to było, ale w każdym razie tego dnia żeśmy dotarli do Zielonej Góry. Tam był znów polski oficer, który nas przechowywał tydzień, przed ruskimi chronił. Mówi: „Jak oni [się] przegrupują, gdzie indziej przejdą, to dopiero ta droga, tam któraś miała być wolna, to sobie pojedziecie”. No i tak żeśmy potem dotarli już do Rawicza, tam żeśmy już przenocowali u siostry tek rodziny tego pana z poznańskiego, no i na pociąg do Zduńskiej Woli. Do Zduńskiej Woli pociągu z Rawicza nie było, żeśmy dojechali do Kobyłina. W Kobylinie znów zachorowałam. Tam był jakiś ośrodek Czerwonego Krzyża, no to tam mnie trochę podleczono, ale tam już trzeba było za wszystko zapłacić. Nie mieliśmy przecież pieniędzy. Mojemu ojcu udało się przewieźć pistolet, ten pistolet sprzedał zawiadowcy stacji i te pieniądze były na moje leczenie. Takie przejścia, strach, ale na szczęście ten zawiadowca stacji nie powiedział nikomu o tym handlu. No i potem żeśmy przyjechali 22 lipca do Zduńskiej Woli. Ja z mamą siedziałam na stacji, ojciec przyszedł do Kalinowej po furmankę, przyjechaliśmy, no to pustka, ludzie wszystko rozkradli, nie było nic, nawet koryta z obory były pozabierane, wszystko, pustka. Nie było ani tózka, nic a nic, bo raz, że się nam wszystko spaliło, bo nam się wszystko spaliło w trzydziestym dziewiątym roku oprócz dwóch krów, no i te krowy jeszcze ludzie nie zdążyli zhandlować, to właśnie jeszcze tatuś odebrał, a kur było zawsze u nas około dwudziestu, no to ta kobieta, która miała tę jedną krowę, nam oddała dwie kury i taką młodą kokoszkę. To tyle żeśmy mieli, to to szczęście, że jeszcze te dwie krowy tylko były i nic

więcej, i pustka, ani mebla, na słomie żeśmy [spali]. Tu mieszkała taka Nowacka, no to potem z tej słomy, skądś tam tatuś przyniósł, na słomie żeśmy spali i jedli na podłodze. Potem taka wujenka mojego ojca ze Zduńskiej Woli nam dała dwa łóżka, dwa krzesła i szafę serwantkę bez szuflady, stół był zbity z desek takich na tych krzyżakach i to wszystko. Wszędzie brudno, zaniedbane, zawilgocone było, i tak żeśmy zaczynali. Płoty porozrywane, nie było nic. Ziemiaków też nie było, bo akurat na naszym polu ziemniaków nie wsadzili, zboża tylko było trochę w stercie, tak że od nowa bieda, taka jak w trzydziestym dziewiątym roku. No i, moi kochani, był jeszcze poligon. Na poligonie było wojsko z jedenastki sieradzkiej, z nimi się szło dogadać, byli normalni, normalne polskie wojsko. Krowy chodziły na poligon, jak nie miały co jeść, co już wyjadły trawę, to przyjeżdżał oficer i jeszcze kazał przesunąć dalej w łąki tę granicę, jeszcze dalej niech sobie krowy jedzą. I wiecie, ile wtedy w Kalinowie było krów? Za marszałka Rydzka-Śmigłego przed wojną w granicach 250, to była średnia, i po wojnie jeszcze to się utrzymywało. A potem chyba pod koniec lat czterdziestych, może to był rok czterdziesty dziewiąty, nie wiem, no to już jedenastkę sieradzką przepędzono z poligonu, przejął to Narodowy Fundusz Ziemi, to już z nimi się zmówić nie było można, jeszcze te krowy chodziły, ale już pożał się Boże. No i tak było do pięćdziesiątego piątego roku. W pięćdziesiątym piątym roku melioracja, a jeszcze wcześniej, co muszę się cofnąć, proszę panią, czystka w wojsku to w którym roku się zaczęła, w czterdziestym dziewiątym? Chyba tak. No i wtedy od nowa się zaczyna niewola, od nowa prześladowania. „Wy, obywatelu - było - wyście mordowali żołnierzy radzieckich na granicy. Za to musicie odpowiadać”. Przesłuchania, a takie wma- wianie, że „Obywatelu, żeście się na ochotnika zgłosili do korpusu”, mój ojciec mówi: „Nie, zostałem zabrany do wojska i po tym przydzielony do korpusu”. No i się zaczęły wizyty UB. Gdybym miała pisać reportaż, to bym dała tytuł „Zawsze po dwudziestej trzeciej” – walenie, znów od nowa walenie do drzwi. Zaczynało się od słów: „Bandyta w domu? O, jest bandyta”. No i raz szczególnie zapamiętałam jedną rewizję, to do tego pana się zwracali „panie szefie”. Ten pan szef trzymał mojej mamusi pistolet tak przy głowie i kazał w tej skrzynce, co tam mieliśmy tę skrzynkę, przekładać wszystko, szukać wojskowej broszki. Mamusia przekładała wszystko, potem w takiej szafie serwantce na dole też tam trochę takich ciuchów było, też to przekładała wszystko, a on stale z tym pistoletem, taki mały ubek stał, nastolatek jeszcze chyba, na środku chałupy, tam izby, a większy stał przy drzwiach. Tu był piec, gdzie stoi ten piec, to był taki piec z cegieł, jak wtedy były, ja z ojcem stałam oparta o ten piec, trzymał mnie tatuś mocno tak za rękę i tylko powiedział: „Nie ruszaj się”, a ten mały ubek, co stał na środku, w pewnym momencie mówi tak: „Szeffie, ja to tych dwóch to mam chęć kropnąć”, a ten szef mówi: „Jeszcze nie teraz”. Takie było życie po wojnie, i to robili Polacy. Ten szef się podobno nazywał Wacek Baśka. Kiedyś mi dał dwa cukierki, takie byle jakie, owocowe, i mówi: „Czy ty u tego bandyty nie widziałaś czasem takiej wojskowej broszki?”, mówię: „Nie”. I tak: przyszło zawiadomie- nie, stawić się w łasku tam w tym UB, w tym RKU, to się RKU chyba nazywało. Tatuś poszedł, nie było go pół tygodnia, tydzień. W nocy przyszedł. Ze dwa tygodnie spokój, różne te przerwy były. Znów przychodzi, znów wezwanie i tak w kółko, i to trwało chyba około trzech lat, się wlokło. Mało tego, ale się mścili na wszystko, wszystko było złe. Jeśli chodziło o tatusia, to przychodzili zawsze po jedenastej, po dwudziestej trzeciej, a jeśli chodziło o mamusię, żeby dokuczyć nam jako całej rodzinie, to przeważnie popołudniu. Kiedyś przyszedł popołudniu, przyprowadził takiego pana, który się zajmował, bo nie było wolno siał tytoniu. Przyszli oni we dwóch, ja byłam sama w domu, bo rodzice byli w polu. Przyszedł [i pyta]: „Bandyta w domu?”, mówię: „Nie, tatuś z mamusią są w polu” i prosto, ani „dzień dobry”, nic, do ogródka. W tym ogródku była grządka, na której była kapusta rozsada, i to była ta rozsada, temu kazał przegarniać, szukać tego tytoniu. Ten tego tytoniu nie znalazł, kiedyś tam był dawno tytoń, no to tam może ze dwa-trzy takie jeszcze tam gdzieś wypuściły, a reszta to była kapusta i trochę chwastów. Wszystko kazał wyrwać.

Ja mówię: „Niech pan nie wrywa mamusi kapusty, przecież to jest kapusta, a nie tytoń”. „Cicho bądź, bo taka sama jesteś jak twój ojciec. Jak urośniesz, to będziesz ludzi zabijać, tak jak twój ojciec. Wiesz, że twój ojciec jest mordercą? Mordował żołnierzy radzieckich na granicy”. Ja się ojca pytałam, zawsze mówił: „Dziecko, nie wierz. Nikogo nie zabiłem, nikogo nie zabiłem”. Zawsze mi tak mówił. No i, proszę panią, to tak trwało długo, to się wlokło przez kilka lat, a to kapusty, a to była posadzona marchew, pietruszka i kapusta, i buraczki na nasiona, i to tak w rzędzie, w miejscu nasłonecznionym, sznurkiem wkoło poprzywiązywane do kołków, no to przyszedł [i pyta]: „Co to? To na handel?”, ja mówię: „Nie, na nasiona”, a zawsze przychodził w sprawach takich, to jak byłem sama w domu. Mówię: „To na nasiona jest”. „To tyle będziecia siał, co? Na handel, matka handluje?”. „Nie handluje - mówię - to jest dla nas”. Wziął, kazał temu wyrwać, po jednym zostawić. Jak zostawił po jednym, to w końcu wyszło tak, że ta kapusta nie miała nasion, które on zostawił. Kiedyś były cztery ogórki na takiej desce, półeczce, na nasiona zostawione, to wziął trzy i pokroił, a jednego zostawił, a ten jeden, co zostawił, miał właśnie byle jakie nasiona, i takie byle co, do byle czego się czepiali. A to marchwi za dużo: „Dwie grządki marchwi? Na co te dwie grządki?”. Mówię: „Dla królików, trochę dla nas”. „Dla królików to się sieje żółtą marchew, to na handel żeśta wsiali”. I tak było. Przecież tatuś zaczął odtwarzać sad owocowy i miała być też pasieka, tak jak przed wojną, no ale wszystko było na handel, wszystko było złe, no i takie to życie było, aż do Gomułki, aż do czasów Gomułki. Potem się dopiero [poprawiło], to niech pani patrzy – dziesięć lat tej mordęgi. Się wróciło do Polski i było to samo, i potem, potem też, gdzie poszedł, to zawsze. Kiedyś w Kozubach był GS Kozuby, no to poszedł tam coś kupował i mówił, że coś tam zwrócił uwagę na coś. - „A co, wam się, obywatelu, nie podoba? To sobie idźcie na skargę. Do którego ta pójdziecie na skargę? Do Piłsudskiego czy do Rydza-Śmigłego? Hi, hi, hi, hi. A którego ta bardziej kochacie?”. Takie było odzywianie. Ja stałe słyszałam, że mam ojca bandytę, jak UB przychodziło, tak. No i na tym żeśmy skończyli, i jeszcze jeden taki ważny moment, proszę panią: co nas dobiło w trzydziestym dziewiątym roku? Nas dobiły mniejszości narodowe. Tak. Nawet nie wiem, czy państwu jest znana rozmowa ministra, jak się nazywał, uciekło mi... Ribbentrop z Hitlerem. Ribbentrop do Hitlera powiedział tak: „O Polskę niech się pan nie martwi, bo z Polską to nam bardzo łatwo pójdzie, bo Polska ma dużo mniejszości narodowych. Białorusini i Żydzi nie będą się bić o Polskę, a nasi nam pomogą”. I tak właśnie było. Podobno w Łodzi, to już w trzydziestym czwartym roku powstało Gestapo, tajne Gestapo. To wiem od mojej teściowej.

[01:03:03 KONIEC NAGRANIA]